J. GRABOWSKI

JAŚKO Z MIRACHOWA

JAN GRABOWSKI

JAŚKO Z MIRACHOWA

BAŚŃ

Z 20 RYSUNKAMI W TEKŚCIE

NAKŁADEM SP. AKC. „NASZA KSIĘGARNIA“
WARSZAWA, Widok 22—ŁÓDŹ, Piotrkowska 181
1925

Printed in Poland

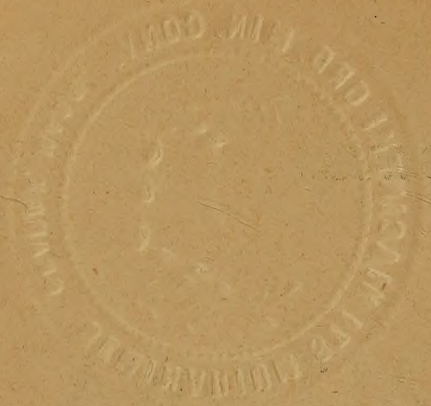

ZAKŁADY GRAFICZNE „NASZA DRUKARNIA". WARSZAWA, SIENNA 15.

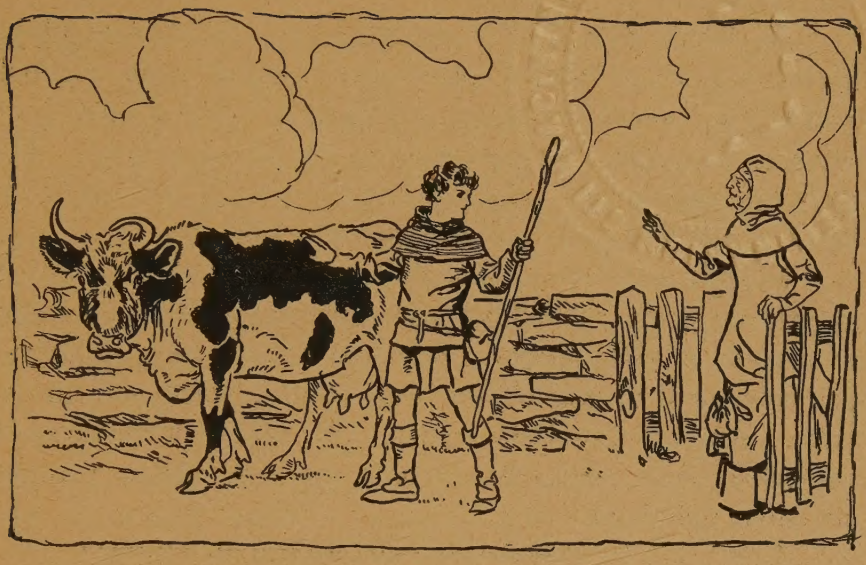

I.

Szeroko, daleko rozlało się Wieczne Jezioro!

Toń zielenią się mieni, miałkusz piaskiem złoci. Niebo się w wodzie przegląda, chmury się przesuwają po jeziorze błękitnym cieniem. Dniem słońce w wodzie się jarzy, nocą miesiąc mdlejącem srebrem po fali się rozsiewa.

Bory obstąpiły jezioro dokoła. Patrzą weń i dęby rosochate, i sosny strzeliste, i świerki, co w niebo biją jak zdroje zielone. Ku jezioru zbiegają strumienie, sączące się po omszałych kamieniach. Obok tych wodnych dróg biegną ścieżynki przez zwierza leśnego wydeptane. Jedne, żłobione w mchu skokami zajęczymi, ledwie widoczne, inne — gościńce, którymi królowie tej puszczy nadjeziernej chadzają do wody, tur wielkorogi i łoś o racicach szerokich jak liść łopianu, rogach podobnych do skamieniałego krzaka na łbie przeolbrzymim.

Środkiem jezioro mierzeja przecina. Woda tam płytka, ledwie się przez piasek przelewa. Suchą nogą możnaby wzdłuż tej mierzei jezioro przebrodzić, gdyby nie jedno miejsce, w którem ławę piaszczystą przerywa bystrzec. Żłobi on sobie tam koryto głębokie, pełne wirów, co się wkoło kamieni podwodnych i wykrotów jak węże wiją.

U tego miejsca, gdzie nurt mierzeje przekopał, grodzisko się na mieliźnie rozsiadło. Zatoczyło się kołem olbrzymiem w samym środku jeziora. Najeżyło częstokołem, z ostrych pni dębowych w wał bitych, wał wysoki, wyżej niż na dwu ludzi. Ani do grodziska dojść, ani łodzią niepostrzeżenie podjechać, bo stróżują dzień i noc na wale straże i rogiem ku sobie pohukują.

A kto też to mieszka w tym jeziornym grodzie?

Sam pan Cztan z Mirachowa i żona jego Marza, wierna czeladź, no i konie, i sokoły, i bogactwa nieprzebrane swojem i przodków męstwem niezłomnem i zapobiegliwością nieustanną dobyte.

A kogóż to konik cisawy po ciemnym borze niesie?

Samego pana Cztana z Mirachowa.

A za panem jedzie czeladź wierna i biegną psy nieodstępliwe i sokoły ostrowidze na ręku sokolników w kapturach drzemią.

Dokądże to jedzie sam pan Cztan z Mirachowa?

Na łów, na łów, na łowy, do zielonej dąbrowy!

Słońce, co się drobnymi błyskami przez gęstwę lasu przedziera, w ostrzach oszczepów złotymi promieniami się zapala, po widłach i toporach się prześlizguje, złotemi kołami po ziemi toczy, jakby tańczyło. Raźno parskają konie. Psy naszczekują radośnie. Piersi wesele rozpiera i ludzie w sobie strzymać go nie mogą! To pohukują, to przekrzykują się

radośnie, to pieśni łowieckie śpiewają, to na rogach turzych głosy puszczy oddają.

Aż na brzeg Gogolińca, potoku, co z Wiecznego Jeziora wypływa, przybyła myśliwska drużyna.

Daleka jeszcze przed łowcami droga do Niedźwiedziego Bagna, gdzie tury rade żerują. Rozłożyli się na popas. Ogniska się palą. Mięsiwo na ogniu skwierczy. Takie smakowite zapachy po puszczy się rozchodzą, że psy wygłodniałe zbiły się w kupę koło ogniska, patrzą w płomień i skamlą zcicha.

— Hej, a któż to w puszczy woła?

Skoczyli wszyscy na równe nogi, broń opatrują. Niewiadomo nigdy, kto się zbliża: wróg, czy przyjaciel. Ale o wroga zawsze łatwiej. Znęcili się już Niemcy w te okolice i coraz się ich jakaś zbrojna kupa włóczy. Jeśli mała — to na przeszpiegi, jeśli większa — to na rozbój.

Zalane już ogniska. Odprowadzono konie w gęstwę, psiarki połapali psy na smycze. Cztan i czeladź zapadli w olszynowe krzaki na skraju lasu i czekają.

Z przeciwnej strony boru wysunął się człek pieszy, zasłonił się dłonią od słońca i przepatruje okolicę.

— Niemce! — zaszeptali ludzie Cztanowi.

Wysypało się na polanę jeszcze kilku pieszych, oglądając się dokoła oczyma podejrzliwemi. Coś poszeptali ze sobą. Wrócił jeden do swoich.

Zadudniła ziemia pod kopytami. Z lasu wyjechało trzech konnych. Słońce jarzy się na kowanych zbrojach. Jeszcze jeden wymknął się z boru na polanę. I jeszcze jeden, i jeszcze. Konnych było siedmiu.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni. Piesze ciury już rozkładają ognisko. Jeden z konnych, wódz gromady, krzyknął coś w bór. Przynaglał głosem kogoś, na kogo, widać, czekano.

— Hrolf, Hrolf! — zaszemrali ludzie Cztanowi.

Z lasu wysunął się człowiek, nie człowiek, potwór tak olbrzymi, że bardziej był podobny do olbrzymiego niedźwiedzia, spiętego na tylnie łapy, niż do człowieka.

— Pojmały Niemce Jędrzychnę!

Potwór niósł w rękach kobietę. Wyrywała się ona, szarpała, darła paznogciami twarz Hrolfa, siną, jak mięso surowe. Raz po raz krzyczała strasznie, nieludzko.

Hrolf postawił Jędrzychnę na ziemi przed wodzem, wyłamując jej ramiona w tył. Wódz kazał związać pojmaną. Niemce rzucili się na kobietę, powalili ją na ziemię, spętali, przeciągnęli sznur przez pętle na rękach i nogach i już ją wloką do ogniska.

— Damyż to Jędrzychnę żywcem przypiekać?

Cztan zakwilił jak jastrząb. Przyczołgali się doń towarzysze.

— Obejdziemy ich brodem. Zajdziemy Niemcom od boru!

Skradają się, jak węże. Przeszli Gogoliniec po bajorzystym rozlewie. Wpadli w bór. Jak rysie bezszelestnie skaczą z krzaka w krzak. Już są na tyłach Niemców.

— Bij, psubratów!

Zbrojni cofnęli się ku ognisku. Wysłali przodem ciurów pieszych, widząc, że napastników mało i że są lekko uzbrojeni.

Lecz zanim piesi Niemce skoczyli do czeladzi cztanowej, nim się mieli czas złożyć, już szarpali ziemię kostniejącymi palcami. Padli, jakby im kto nogi podciął. Ruszyli się i żelazem okryci, zastawiając się tarczami, wysuwając przed się miecze, jak żądła.

Rudy Niemiec zwarł się z Cztanem, mieczem odbija razy oszczepa. Zachwiał się, stąpnąwszy na roztapłane błoto. Po-

winęła mu się noga w ciężkich żelaznych buciorach. Już mu oszczep gardło rozporał.

Widzi Cztan, Hrolf kamień z ziemi podnosi, kamień ciężki, wielki, skałę. Wyrwał oszczep ubroczony z niemieckiego gardła i rzuca.

Trafił olbrzyma w pierś, tam gdzie Hrolf naszyjnik z kości ludzkich nosił. Oszczep przebił kożuch niedźwiedzi i drży, mocno w piersi utkwiony. Zatoczyła się potwora, ryknął jak zwierzę, ułamał drzewce, chce ostrze z ciała wysupłać. Z otwartej gęby krew chlusta. Ręce bezradnie w powietrzu macają. Zadreptał w miejscu, zatoczył się i rymnął na trawę, aż ziemia jęknęła.

Obejrzał się Cztan. Trzech tylko jeszcze Niemców walczy. Dwu ku koniom pomyka. Chwila — wskoczą w siodła i umkną.

— Psy! Psy! Psy szczuć na konie!

Rzuciły się psy. Opadły konie. Wiszą im u pysków. Kwiczą niemieckie ciężkie koniska, kręcą się w miejscu. Ani myśleć o ucieczce!

— Sieciami ich zarzucić!

Rzucono na Niemców siecie, w które drobną zwierzynę łowiono. Miotali się w nich Niemce jak płocice, a im się bardziej wymotać chcieli z pętów, tym się mocniej krępowali.

Kazał ich Cztan powiązać.

Hrolf zipał jeszcze. Przewieszono olbrzymie cielsko przez siodło jednego z koni. Chciał go mieć Cztan u siebie w grodzisku. Rzadko można między ludźmi znaleźć taką stworę. Niechby tam i kaleka, aleć zawsze dziwowisko!

Jędrzychna, jak się nieco ocknęła i kości rozprostowała, siadła na konia. Zaprosił ją Cztan do swego osieku, do Mirachowa, nad Wieczne Jezioro.

Jędrzychna milczała. Sapała tylko na Hrolfa poglądając, a złe błyski świeciły jej w oczach.

— Ten pies mnie chwycił, gdym w boru zioła zbierała. Nie pożałujesz, Cztanie, żeś mnie wybawił.

— Nie dla nagrody to uczyniłem! — żachnął się Cztan.

— Wiem, że nie dla nagrody. Zwiedziały się Niemce, żem jest wiedźma, że się z ziołami znam, umiem uroki rzucone odczyniać, no i sama uroki rzucać, kiedy chcę.

Cztan splunął trzy razy za siebie.

— Umiem też każdej stworze rozkazać, by mnie słuchała. A u siebie miałam trzy rzeczy czarowne, o których nie wiem skąd się dowiedziały Niemce. Jedną sobie sama odchowałam. Czarna to kokosz, skrzydła ma trochę jarzębiate. Tę nauczyłam, żeby mi złote jajka niosła. Druga znów — to wór pełen złotych pieniędzy. Bierz z niego, bracie, ile chcesz, a nigdy ci nie ubędzie. Ten wór zostawił mi brat mój, Lasota, kiedy za morze jechał. A trzecie, to mi najmilsze, sercu najbardziej bliskie.

— Cóż to jest? — spytał Cztan.

— Muzyka! Dał mi ją jeden z tych, co tu czasem za bursztynem do nas z za morza przychodzą. Pałączek złocisty, na nim struny srebrne naciągnięte. Przodem osoba wyrobiona ze złota. Masz smutne myśli, postaw tę muzykę przed sobą. Sama gra, a osoba ze złota śpiewa tak wdzięcznie, jak nikt z ludzi. Cztanie, już mi się też naprzykrzyło ciągle Niemcom uchodzić i z nimi się kawęczyć. Zato, żeś mię od Hrolfa wybawił, wszystkie te cudowności tobie zostawiam. Bo też mnie trzeba w świat. Bierz złota, ile chcesz. Jak wrócę, oddasz mi to, co ci zostawiam.

— Dokąd pójdziesz?

— Pójdę tego szukać, co mi muzykę dał, bo mi żyć

bez niego nie sposób! — westchnęła Jędrzychna. Jutro o zaraniu będziesz miał u siebie i kokoszkę, i wór, i muzykę, bo mam wszystko niedaleko schowane w boru. Chciały mnie Niemce przypiekać, żebym im miejsce pokazała. Bo mnie podpatrzyli, jakem muzyki chodziła słuchać. Ale się sami w opały dostali.

— Bywaj, bywaj! — zawołały straże na grodzisku.

Odtrąbili im ludzie cztanowi. Spuszczono most.

Dudnią bale w moście. Jedzie sam pan Cztan z Mirachowa na cisawym koniu, za panem czeladź wierna, psy nieodstępliwe, pomiędzy nimi Niemce powiązani i Hrolf, potwór dziki, przerzucony przez konia.

II.

Co też to za chmura ciężka pół nieba zasłania? Co się to w boru stało, że się wszystkie ptaki porwały i lecą? I zwierzęta pomykają spłoszone?

Nie chmura to, nie chmura, ale dym gęsty w bure kłęby się zwinął i ciężko się po niebie rozwłóczy.

A cóż się to pali w środku boru?

Grodzisko pana Cztana doszczętu gorzeje.

A któż to ogień podłożył pod ten osiek na jeziorze?

Hrolf, Niemiec, ten, co go pan Cztan w boru pojmał w grodzisku trzymał, uciekł z niewoli.

Samby to on mógł taką twierdzę spalić i zniszczyć?

I miejsce niedostępne, i załoga mężna, a sam pan Cztan z Mirachowa rycerz nad rycerze!

Nie sam to on zdziałał, nie sam. Zwąchał się Hrolf z Niemcami, zebrał siłę przemożną. Nocą się pod grodzisko podkradł.

Nocą straże zdwojone i pilność. Chybaby zdrada?

Oj, zdrada, zdrada! Jak żmija skrada się chyłkiem i najmężniejsze serce jadem poraża. Kto się przed zdradą obroni?

A któż Niemcom wejść do grodziska dopomógł?

Kachna.

Szafarka? Ta, co ją pan Cztan od Prusaków wykupił? Co jej tyle dobrego świadczył?

Miała ona z Hrolfem konszachty jeszcze czasu dawnego, gdy ten Niemiec siedział w lochu. Spuściła mu linę do czółna. Po niej się wdarł za częstokół. Za Hrolfem inni. A ona tymczasem straże zagadywała i piwem poiła.

Co się z nią stało? Nikt nie ubił potwory?

Hrolf ją zabrał ze sobą. Widzieli ludzie, jak ją głaskał po twarzy i słodkiemi słowami do niej mówił.

Ocalał też kto z grodziska?

Stary Ścibor wywiódł panią Cztanową i małego Jaśka do boru. Ale nie mógł ich dalej odprowadzić, jak do Krzemienicy. Padł, bo krew z niego uszła od ran.

I cóż też teraz poczną te chudziaki same w boru?

Matka Najświętsza się ich nędzy ulituje i wyprowadzi gdzie między ludzi.

Żeby tak na Jędrzychnę trafili...

Ale! Jędrzychna w cudze kraje powędrowała. Ani ją tu oko ludzkie widziało! Oj, zapłakałażby ona, zapłakała, gdyby się dowiedziała, co się na Wiecznem Jeziorze przytrafiło!

Tak to ona Cztana lubiła?

Nie Cztanaby ona płakała, nie Cztana, tylko tych skarbów, co je Cztanowi na przechowanie oddała. Któż jej odda kokoszkę czarną, co złote jajka niosła, wór, zawsze pełny złota, i tę muzykę ulubioną, co sama grała? Wszystko zabrał Hrolf.

Gdzie też siedzi teraz ten ludojad?

Zamek sobie wybudował z cegły i kamienia, jak to Niemcy budują. Murami obwiódł, na dziesięciu chłopa mur wysoki. A brama do zamku żelazna, kowana. Kto go w tej twierdzy dostanie?

Będzie znów rozbijał, łupieżył, ludzi porywał. Bo mówią o nim, że ludzkie mięso rad jada, krew pija, a serca zabitych psu swojemu na pożarcie rzuca! Niema kary boskiej na takiego rozbójcę.

Przyjdzie i jego czas, przyjdzie!

III.

Co się też to na tym bożym świecie wyrabia, co się też wyrabia!

Taka pani, taka można, jak Marza z Mirachowa, cztanowa wdowa, gdzie to mieszka i co robi!

Uciekając z płonącego grodziska, w małem miasteczku, Żarnowie, się przytuliła.

Takie to tam i miasto! Parę chałup, kilka stodół rozwalonych — i całe miasto. Tyle, że jest kościół niezgorszy i to z kamienia cały budowany!

Pani na Mirachowie za resztę nędzy, co ją z pogromu ocaliła, kupiła sobie w Żarnowie chałupinę. Przy niej sad, jabłonek parę i grusza jedna. Sama na tej nędzy gospodarzy, sama koło wszystkiego zabiega. I koło ogrodu, i koło domu, i koło obórki, co się w niej krowa Krasula chowa.

Ciężko pani Mirachowskiej i niesporo idzie robota i porządek gospodarski!

Trudno się rękom, dla których i wiatr był za ostry, do ciężkiej wzwyczaić pracy! A tu nietylko za siebie trzeba robić. Jaśko mały skrzat, ledwie od ziemi odrasta, choćby chciał, pomocy dać nie może.

Oj dola, dola!

Latem jeszcze jako tako! Daje Pan Jezus ciepło z nieba, to wszystkiemu, co żyje, lżej. Ale zima! Boże zmiłuj się! Zimno, pusto, głodno! Nigdy tak ostro bieda człowiekowi w oczy nie spogląda, jak wtedy, kiedy pola śniegiem pokryte, wiatr ostry dmie, przez szczeliny do izby wpada, do kości przejmuje, a niema czym ziębu odegnać, niema czym ognia rozniecić, ani co do ust włożyć!

Bieduje pani Mirachowska, bieduje. Ludziom się nie skarży, tylko Bogu o swojej nędzy powiada i o zmiłowanie Go prosi.

A tu co dnia, to gorzej!

Sił coraz ubywa, choroba i słabość u drzwi stoją, nędza za niemi żółtym okiem do izby zagląda! Podupadła pani Mirachowska na siłach, ledwie się dźwiga.

A Jaśko?

Tyle tam z niego pociechy, co kot napłakał! Im starszy, tym mu bardziej inne rzeczy w głowie, nie kopanie w ogrodzie, albo pielenie grządek.

Odkąd zobaczył poczet zbrojnych, którzy przez Żarnów jechali, na dwór książęcy się kierując, całkiem w głowie mu się przewróciło! Nic, tylko chce być rycerzem, jak oni! Miecz sobie wystrugał z drewna, tykę od grochu ma za kopję i harcuje po Żarnowie z takimi obibokami, jak on sam!

Dobre dziecko, nie można się skarżyć, tyle, że lekkoduch i powsinoga. Jak zobaczy, że matka spracowana, a jeszcze nie daj Boże płacze z utrudzenia, to ją po rękach całuje, pieści, taki słodki jak miód. Pracuje, krząta się, do niczego się matce dotknąć nie pozwala.

Ale nie dłużej takiego raju nad dwa, trzy dni. Zaraz w chłopca coś wstępuje i już go niema. Poszedł na bijatyki

z chłopakami! Słuchają Jaśka wszyscy w Żarnowie, jak króla, świata bożego za nim nie widzą!

A pani Mirachowska tak się pogromu, w którym utraciła wszystko, co miała, przeraziła, iż nawet słowem Jaśkowi nie wspomina o tym, że mu się z ojców rycerski stan należy. Chciałaby mieć syna księdzem, opatem w jakim klasztorze, ba, nawet proboszczem w najnędzniejszej parafji, byle nie wojakiem, który dziś wojuje mieczem, by jutro od miecza zginąć.

Raz Jaśko poszedł jakoś z samego rana i nie wrócił aż po trzech dniach. Namartwiło się o niego matczysko, napłakało! Myślała już nieszczęśliwa wdowa, że jej syna porwali jacy łotrzykowie, którzy się włóczą gościńcami.

Wrócił głodny, podrapany, odarty, i zaraz z proga buch matce do nóg! Przeprasza, przymila się, po rękach, po nogach całuje.

Cóż miało począć biedne matczysko? Dała Jaśkowi mleka, chleba. Siadł chłopak wygodnie na ławie, zajada. A usta mu się nie zamykają, wciąż opowiada, gdzie to on był, co robił, jakie to cudaniewida oglądał.

— To, wiecie, pani matko, trafiłem na takie pole. Wygon, nie wygon, ugór, nie ugór. Pusto. Ani drzewa nie rosną, ani nawet trawa się nie zieleni. Nic, tylko kamienie, piasek szary, mech, i takie zielsko wyrasta tu i owdzie z pomiędzy skał, jak pokrzywa. Zwierza ani śladu! Tylko wrony polatują, kracząc. Niewesoły kraj!

— I pocoś tam chodził?

— Mówili ludzie na jarmarku, że zaraz za tym krajem jest woda, takie bagna nieprzebyte, a pośrodku tych bagien skała.

— A cóżeś to ty skały nie widział?

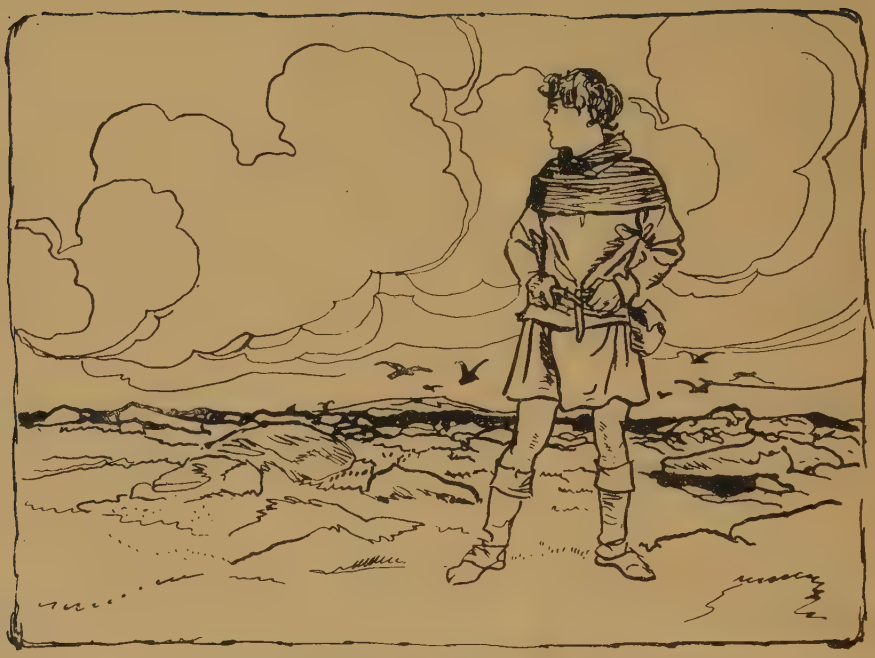

Tylko wrony polatują, kracząc. Niewesoły kraj!

— Ba, skałę to widziałem i nieraz. Tylko, że na tamtej skale zamek ma stać wspaniały, cały z kamienia. A wiecie wy, pani matko, kto w tym zamku mieszka?

— No?

— Hrolf, Niemiec-ludojad, którego się wszyscy boją gorzej ognia i zarazy piekielnej.

— I tyś tam chodził do tego zamku, chłopcze utrapiony?

— Iii, jeszczem nie doszedł do zamku. Ale ja się tam wybiorę. Już ja go muszę zobaczyć, tego potwora.

— Ani mi się waż! O Jezu, Jezu! — jęknęła biedna Marza i zapłakała tak gorzko i boleśnie, że Jaśkowi aż serce zdrętwiało z przerażenia, iż takich palących łez matczynych

stał się przyczyną. Rzucił się też matkę przepraszać, zaklinał się, że nigdy już, nigdy na puste pole nie pójdzie.

Spłakali się oboje. A Jaśko był znów taki dobry, taki przymilny, tak się wszystkim zajmował, tak się koło domu krzątał, tak go ludzie ciągle to w ogrodzie, to przy domu widywali, że nadziwić się nie mogli, co się to też z takim wisusem zrobiło.

— Patrzcie no, patrzcie! — mówiła sołtysowa Ofka do żony pisarza miejskiego Grzegorczyka, — Jaśko jakby się całkiem odmienił!

— Nie wiada, czy na długo! — skrzeknęła Grzegorczykowa, która wszystko brała kwaśno i nie lubiła, kiedy przy niej kogo chwalono.

IV.

Nie uszło wiele — cztery niedziele — już Jaśka nie było.

Zginął na jeden dzień. Wrócił, pocałował matkę w rękę i znów się zabrał do roboty. W dzień pracował bez wytchnienia. Ginął z domu, jak tylko słońce zachodziło. Wracał późną nocą, wślizgiwał się na stryszek, nad obórką. Rano stawał do roboty jakby nigdy nic.

Matka dostrzegła te nocne wycieczki. Pytała nieraz o to, dokąd się chłopak wymyka. Jaśko milczał, albo zagadywał matkę o czem innem.

Aż jednego wieczora, nistąd nizowąd, pyta Jasiek matkę:

— Dlaczegoście mi, pani matko, nigdy nie mówili, że mój ojciec był rycerz-włodyka, że na grodzisku na jeziorze siedział, miał czeladzi jak mrowia, i zbrojnych, i sokolników, i psiarków, i ratajów-rolników, co dla niego ziemię uprawiali, i rybaków-włoczków, co dla grodziska niewody zarzucali? Że miał konie przepiękne, a rzędy na nie złote, kamieniami sadzone, jakich niema nikt na całym świecie, nawet podobnych? Nigdyście mi też nie mówili o tym, że nas Hrolf wszystkiego pozbawił, że nam zabrał nietylko to, co nasze, ale i te skarby, które Jędrzychna u ojca zostawiła, a których miał dla niej strzec i nie ustrzegł?

— Skąd ty to wiesz, Jaśku? Kto ci to powiedział, chłopczyno?

— Jędrzychna! Od niej to wiem. Alem z początku nie wierzył. Teraz widzę, że prawda. Matko, idę ja dziś do dnia. Nie będzie mnie dwa dni. Nie martwcie się, nie płaczcie po mnie. Muszę się z Jędrzychną rozmówić jak i co.

— Jakto? — jęknęła matka.

— Nie może to być, by mój rodzic słowa nie dotrzymał i stracił to, co mu dano na przechowanie z całą wiarą, że przechowa nienaruszone! Moje synowskie prawo i obowiązek wrócić Jędrzychnie, co straciła!

— Robaku, tobie się to z Hrolfem mierzyć? Toć on cię między palcami zgniecie!

— Zgniecie, albo i nie zgniecie. Cześć więcej warta, niż życie bez chwały. Nie brońcie mi, matko, iść! Sami widzicie, że muszę.

— Kto to ma się wyprawiać na takiego ludojada! Ty? Taki skrzat, co ledwie od ziemi odrósł? Toć ci nie więcej jak dziesięć lat!

— Żebym ja miał czas, tobym czekał i do skończenia świata! Tyle, że mi pilno, bo i Jędrzychna mówi, że takiemu małemu łatwiej Hrolfa zwojować. A i wam, pani matko, coraz ciężej i niema się na co oglądać, chyba tylko na to, co na Hrolfie zdobędę.

Przekładało matczysko Jaśkowi, perswadowało. Ale! Groch o ścianę!

Poszedł.

Na Pustem Polu spotkał Jaśko Jędrzychnę, która już na niego czekała.

V.

— Dobrze, żeś przyszedł, chłopcze. Myślałam, żeś się może przeląkł.

— Ja? Ja się niczego nie boję. Tylko sobie myślę, jakto będzie, kiedy matce krowę zabiorę. Oprócz tej krowy już nic nie mamy. A i matka coraz słabsza.

— Ja będę przy twojej matce. Znam ja jeszcze takie zioła, które z najgorszej niemocy człowieka uleczą.

— Ha, tom już o matkę spokojny. Pozwólcie, pani, że sobie podjem trochę, bom mocno przegłodzony. A zaraz muszę iść do zamku. Daleka to jeszcze droga przede mną.

Jaśko wyjął z torby chleb, i rzepę pieczoną i pojadał, raz wraz na Jędrzychnę poglądając.

— Co mi się tak przyglądasz, chłopcze?

— Mówiła mi pani matka, żeście młodzi i nie chciała mi wierzyć, kiedym jej opowiadał, że o kiju chodzicie ledwie nogami włócząc.

— Nacierpiałam ja się, nacierpiała! Wypłakałam łez serdecznych tyle, że mogłyby rzeką spłynąć! Gdzie moja młodość, gdzie uroda! Babam ja dziś kościana! Twarz mam zwiędłą, jak jabłko sparciałe. Głowa się trzęsie, nogi mnie nie słuchają, a na plecach garb! To moja młodość, to moja krasa! Wszystko mi zabrał on, Hrolf!

Jędrzychna suchą rękę w stronę zamku Niemca wyciągnęła, kościstą dłonią potrząsała w powietrzu, a usta zacięte miotały straszne przekleństwa.

— To on wam tyle złego uczynił? — spytał Jaśko.

— Poszłam ja szukać tego śpiewaka, co mi dał harfę cudowną. Znalazłam go tam, gdzie mi zapowiedział, że mnie będzie czekał. Miał on, mój śpiewak, zamek wspaniały. Na samym brzegu morza stało zamczysko. Róże je obrastały, osłaniały czerwoną opończą, białą pianą do samego morza spadały. Ledwie mnie na podzamczu zoczył, już był przy mnie. Zaraz do wszystkich mocarzy świata wici poszły na weselisko spraszać. Co to było za wesele! Żadna wróżka takiego nie miała, żadna królowa nawet we śnie takiego nie widziała! A później szczęście niewypowiedziane. Córuchna nam się narodziła. Córuś moja, córuś rodzona! Oj, dolo, dolo!

Jędrzychna zachłysnęła się łzami. Z pod serca wyrwał się jej jęk bolesny, jak płacz czajki nad jeziorem.

— I to szczęście nas zgubiło, tak, nic tylko to szczęście. Zadobrze nam było na świecie, więceśmy zapomnieli czarować. Bo pocóż czarować, kiedy samo życie jest czarem najcudowniejszym? Pamiętam, była jesień. Wicher drzewa do ziemi przyginał, wył, jęczał. Morze ryczało, wałami, wysokimi jak góry, nadbrzeżne skały gryzło. Wtem słychać tupot nóg. Szczęk, jakby się miecze ścierały. Coraz bliżej. Już są przy drzwiach komnaty. Hrolf! Nim mąż mój sięgnął po miecz, już go Hrolf przygniótł kolanami do ziemi. Porwał mnie i moją córkę. Na postronie mnie wiódł do swojego zamku. Dziecko płakało z głodu. Nawet mi go nakarmić nie dał ten kat, ten dzieciobójca! Bodajeś sczezł marnie, bodaj twoje kości psy głodne po polu rozwłóczyły!

— Uciekliście mu?

— Sam mnie wygnał precz. Włóczyłam mu się u nóg, by mnie z dzieckiem nie rozłączał! Zarzegotał dzikim śmiechem i kopnął mnie, matkę, nogą! Błąkałam się koło zamku, nasłuchując, czy mnie głos dzieciąteczka nie doleci przez mury. Ile razy zobaczyłam Hrolfa, jak z zamczyska wyjeżdżał na wyprawę, zabiegałam mu drogę i skamłałam o jedno bodaj słowo o dziecku. O męża nie śmiałam już pytać. Zwodził mnie! Za obietnicę wycyganił ode mnie wiadomość o kamieniu cudownym, co daje moc nad ziołami. Kazał mi przynieść pióro ptaka Jarzycy, które można mieć raz tylko w życiu, pióro, moc nad zwierzem dające, które cudem miałam przy sobie. Oddałam. A kiedym się dopominała wieści o dziecku, psami mnie poszczuł, psami!

— Pani Jędrzychno, już wy tak gorzko nie płaczcie!

— Zemsty chcę nad Hrolfem i chcę dziecko moje! Widzisz

Widzisz ten mur? Nikt się do zamku nie dostanie, chybaby ptakiem był.

ten mur? Nikt się do zamku nie dostanie, chybaby ptakiem był. Brama żelazna nie puści. Jedna jest do zamku droga, ta, którą ci wskazałam. A może ty się boisz iść tak wysoko?

— Bać się, nie boję, ani mi to w głowie! Na drzewa, na wieżę kościelną się wspinałem, to mi i najwyższe prze-

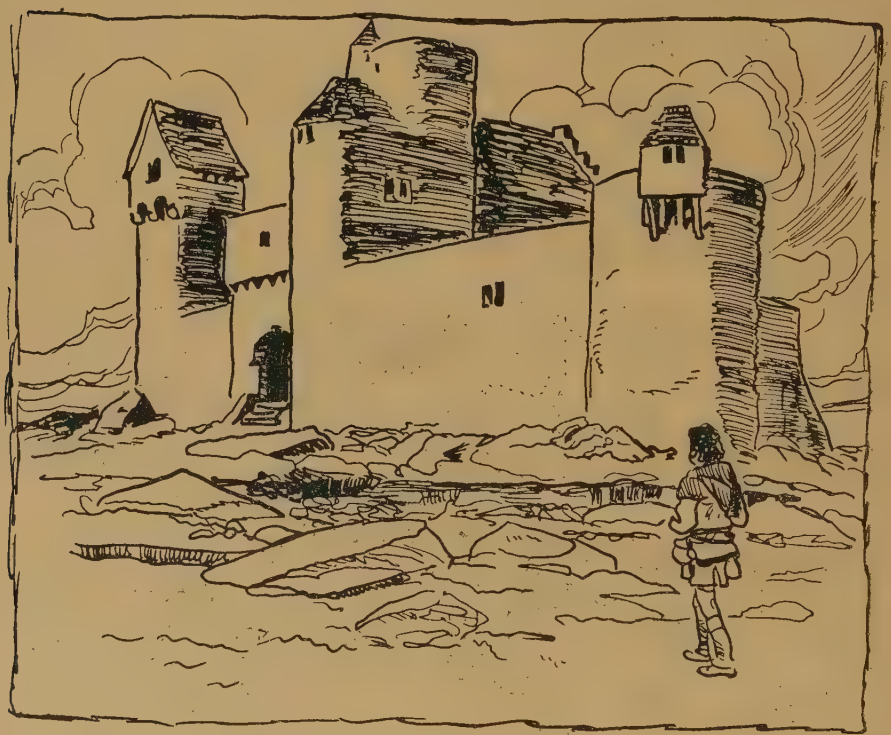

Jaśko cały dzień włóczył się koło zamku.

ście nie pierwszyzna. Pójść pójdę. Ojcuście zawierzyli, że, co wasze, przechowa dla was, to synowskie prawo obietnicę ojca spełnić. A nie wiecie też, czy Kachna jest jeszcze w zamku?

— Kachna z Mirachowa? Chcesz ją widzieć? Podejdź pod mury i zagdakaj, jak kura. Wyjrzy ona zaraz oknem. Boi się ciągle, czy jej aby która kura nie uciekła.

— No, to bądźcie zdrowi. Pójdę ja dobrze zamek obejrzeć. A za trzy dni wyjdę z krową na gościniec.

— Pamiętaj! Pięć ziarn bobu!

— Nie zapomnę!

Rozeszli się. Jaśko cały dzień włóczył się koło zamku, przepatrując każdy załom muru, każdą szczelinę. U jednego okna zagdakał jak kura raz, zagdakał drugi.

— Cipula moja, cipuchna, cip, cip, cip! — zapiszczało w oknie.

— Kachna! — zawołał Jaśko i skrył się za szkarpą.

— O ludzie kochani! A kto też mnie woła na tem pustkowiu?

Jaśko nie odpowiedział, bo właśnie ukazał się orszak zbrojny. Hrolf wracał do zamku. Szedł przestępując z nogi na nogę jak niedźwiedź, a taki był wielki, że najwyżsi ledwie mu do pasa sięgali.

— Oj, będę ja miał z tobą nielada robotę! — pomyślał Jaśko i zawrócił do domu.

Rankiem wyprowadził Jaśko Krasulę z obory.

VI.

Idzie gościńcem. Ten i ów na krowę spojrzy i pyta:

— Na sprzedaż ta krowa?

— Na sprzedaż! — odpowiada Jaśko.

— Ile chcesz za tę chabetę?

— Ile dacie?

Dawali Jaśkowi mało, dawali wiele, nawet więcej, niźli Krasula była warta. Chłopak nikomu krowy sprzedać nie chce.

Wciąż idzie dalej gościńcem i idzie.

Dobrze się już miało pod wieczór. Uznoił się Jaśko, bo dzień był upalny. Zmęczyło się krówsko. Porykuje, za chałupą się ogląda.

Puścił chłopiec krowę w rów, żeby sobie trawy poskubała. Wyjął z torby chleb i pogryza.

A tu niewiadomo skąd wyskoczył na drogę człek opasły. Gęba, jak księżyc, włosów na niej ani poświeć. Fartuch ma pasiaty na sobie, a za pasem nóż rzeźnicki.

Małemi oczyma Jaśka świdruje, koło krowy chodzi, niespokojnymi palcami po bokach ją maca.

— Na sprzedanie ta krowa? — pyta się Jaśka.

— Juści, że na sprzedanie! — odpowiada Jaśko i przygląda się rzeźnikowi.

— Ile chcesz?

— Ile dacie?

— Co ja mogę dać? Żeby to była krowa, jak się patrzy, tobym zapłacił za nią pełnego złotego. Ale czy to jest krowa? To są kości, co się same ruszają, a na nich trochę starej skóry. Widziałeś to? — zagadał rzeźnik do Jaśka, wyciągając coś z kieszeni.

— A cóż to jest? — pyta się Jasiek.

— Co? Bób. Jakbym ja ci dał za tę krowinę pieniądze, tobyś je zaraz stracił i cobyś miał? Nic. Masz ty ogród?

— Mam, — powiada Jaśko.

— A widzisz. Posadzisz sobie w ogrodzie bób. Wsadzisz jedno ziarnko. Niby nic. A wiesz ty chłopaku, w czepku rodzony, ile będziesz miał ziarn z jednego? Sto, a może jeszcze więcej, jak dobrze obrodzi. Jak będziesz oszczędnie jadł, z jednego ziarnka możesz mieć obiad przez cały tydzień. Rozumiesz?

Widziałeś to? — zagadał rzeźnik do Jaśka, wyciągając coś z kieszeni.

— Co nie mam rozumieć!

— Mądry chłopiec jesteś, to ci z oczu patrzy. Nie chcę cię krzywdzić. Dam ci za tę wywłokę — no, dam ci trzy ziarnka bobu.

Jaśko parsknął śmiechem.

— Mało ci? Masz ty swój rozum, chocieś taki młody. Dodam ci jeszcze dwa.

— Mało. Dajcie tyle, co palców u rąk.

— Nie będę się tam z tobą targował! Na, masz!

I rzeźnik dał Jaśkowi dziesięć ziarn bobu.

— A za postronek? — powiada Jaśko.

— Za jaki postronek?

— Co na nim krowę prowadziłem. Weźmiecie go przecież razem z krową.

— Pi, pi, pi! Dobryś ty kupiec! Ażebyś wiedział, że ci dam coś za postronek. I to coś takiego, czegoś się wcale nie spodziewał. Masz!

— Co to jest? Trzcina?

— Trzcina, ano zwyczajna trzcina, taka, jaka rośnie nad jeziorem. Masz ty kozik?

— Mam — powiada Jaśko.

— To idź sobie, chłopaczku, teraz spokojnie do domu, a po drodze możesz sobie myśleć, co też to ty z tej trzciny kozikiem wydłubiesz, rozumiesz? Sprytny jesteś, ho, ho, ho! Czego ty z tej trzciny nie zrobisz! Bądź zdrów!

Rzeźnik chwycił krowę za postronek i ciągnie.

— A powiedzcie mi, panie rzeźniku, skąd wyście, żebym też wiedział komu moją Krasulę sprzedałem.

— Ja? Chcesz wiedzieć? Otóż ci powiem, żebyś sobie później kiedyś w życiu wspominał, jaki to cię zaszczyt spotkał. Ja jestem młodszym pomocnikiem starszego wycieracza rondli,

czasowo pełniący obowiązki rzeczywistego tajnego radcy wołowego i cielęcego zaopatrywania na zamku najjaśniejszego, przemężnego pana Hrolfa. Rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć, rozumiem.

— No, to sobie zapamiętaj i możesz się chwalić, z kim tu na drodze gadałeś, przed kim chcesz!

— Popamiętacie wy mnie ruski miesiąc! — szepnął Jaśko do siebie i poszedł czemprędzej do domu.

VII.

Jędrzychna już czekała na Jaśka.

— Masz?

— Mam dwa razy tyle, co potrzeba. I tę trzcinę mi dał, — powiada Jaśko i pokazuje, co dostał od rzeźnika.

— Ta trzcina przyda się nam bardziej, niż myślisz. Idź zaraz spać. Jutro raniutko musisz być gotów do drogi.

— A matka?

— Matka śpi. Dałam jej ziela nasennego. Jak się obudzi, powinna być zdrowszą i silniejszą. Nie martw się o nią. Co przyrzekłam, święcie dochowam. Idź już, chłopcze, idź.

Jaśko poszedł na swój strych nad obórką. Jędrzychna została sama.

Najpierw wzięła do rąk trzcinę, którą Jaśko dostał od rzeźnika. Okręciła ją w palcach dokoła, przejrzała pod światło. Wyjęła z pod sukni nóż, trzy razy wbiła go w ziemię. Zacięła nożem trzcinę pod kaliwo, odcięła języczek fujarki.

Ułożyła pięć ziarn bobu na ziemi i obejrzała się.

Nad drzewami za kościołem czerwona łuna stała. Księżyc młody powoli się na niebo wspinał.

Jędrzychna się ku miesiącowi twarzą zwróciła.

— Księżycu młody, księżycu, słońca dziedzicu, nocy królewiczu, gwiazd pasterzu, mlecznej drogi stróżu, co perłami rosy siejesz, wszystko, co w ziemi rośnie, co się zieleni, co ma korzenie, co kwitnie, co owoce przynosi — zasilasz — przyjdź ku wspomożeniu memu! Przejrzyj się w tym nożu srebrzystym, jak w wodzie stojącej, przejrzyj się, jak w morzu głębokiem, morzu nieobjętem, morzu, co się wałami do ciebie wspina! Przyjdź ku wspomożeniu memu!

Obróciła się Jędrzychna trzy razy w miejscu i pokłoniła się głęboko księżycowi.

— Księżycu młody, miesiączku srebrny, oto kładę tu do tej ziemi pięć ziarn bobu. Podlewam je krwią nietoperza, posypuję popiołem z czarnej kury! Niechże rośnie ten bób wysoko, wysoko, jak ty jesteś daleko na tem niebie gwiaździstem!

Siadła Jędrzychna przy ziarnach. Posypuje je popiołem, polewa krwią z glinianej miseczki. A później stanęła, wyprostowała się, wyciągnęła obie ręce nad nasionami i, zwrócona twarzą do księżyca, zaczęła cicho śpiewać.

Księżyc się na niebie zatrzymał, gwiazdy przestały mrugać srebrnemi oczyma, obłoki się zachwiały w miejscu zatrzymane. Wszystko się w ten czarowny śpiew zasłuchało.

Dopiero wzięła Jędrzychna fujarkę trzcinową i poczęła grać. Zrazu szemrała cicho, jak potok po kamieniach, później ozwała się głośniej, jakby wiatr szumiał w drzewach, jeszcze głośniej, jakby deszcz wiosenny srebrną siecią ziemię ogarniał. Aż się burza w pieśni ozwała!

Wszystkie trawy, wszystkie zioła, wszystkie krze, drzewa — zasłuchały się w tę muzykę. Poglądały ku sobie zdziwione kwiaty. Powoje, zbudzone, przecierały przymknięte na noc powieki. Macierzanka wyszła na drogę pytać, czy to

wiosna wraca. Rozchodnik wlepił czerwone oczy w dziewannę, która, że najwyższa, najdalej widzi i o wszystkiem kwiatom oznajmia.

Siwe osty kiwały kędzierzawemi głowami do wtóru pieśni i wzdychały:

To bób się tak rozrósł.

— Jeszcze, jeszcze! Nigdy nie dość powieści o wiośnie.

A stara topola, co przy chacie rosła, zatrzepotała sztywnemi liśćmi i szepnęła do lipy:

— Jeszczem takiego wołania nie słyszała!

— Takam młoda, takam młoda, — odpowiedziała jej lipa, — jak wtenczas, gdym pierwszy raz kwitła i pierwszy zapach brał ode mnie wiatr i niósł na łąki!

Obudziły się bobowe ziarenka. Wysunęły kiełki. Puściły korzeń w ziemię. Poczęły się spinać do góry coraz wyżej i wyżej. Wyciągnęły przed siebie wąsy. Ujęły się nimi i zaczęły tańczyć, zwijać się, kołować. Zaśmiały się jednym kwiatem, drugim. A rosły wciąż, rosły, rosły!

Skoro tylko słonko wyjrzało na niebo, porwał się Jaśko. Wybiegł przed chałupę. Patrzy — u jednego rogu chaty drzewa rosną, czy nie drzewa!

To bób się tak rozrósł!

Przy ziemi pnie potężne, jak sosny. A gdzie wierzchołki! Darmoby ich upatrywać! Giną gdzieś w niebie, ani ich dojrzeć!

VIII.

— No, Jaśku, możesz iść. Dziś najlepszy czas. Za parę dni księżyc się odmieni. Wtedy ci nie będę mogła dopomóc.

— Dajcie mi się, Jędrzychno, z matką pożegnać.

Poszedł Jaśko do chałupy. Matka śpi na posłaniu, a tak smacznie, tak równo oddycha, taką ma twarz wesołą, rumianą, jakiej dawno u matki Jaśko nie widział. Nie chciał chłopiec budzić śpiącej, a więc ją tylko w rękę zwieszoną serdecznie ucałował. I poszedł.

Już się na pierwsze gałązki wspiął. Już sięga ręką do wyższych. Pnie się szparko coraz wyżej i wyżej. Giętkie pędy pod nogami mu się miękko uginają. Sunie Jaśko coraz wyżej, a lekko jak ptak. Już jest nad topolą. Na kościół spogląda, jakby z nad dachu go widział.

Wtem się drzwi chałupy rozwarły szeroko i stanęła w nich matka Jaśkowa.

Coś ją tknęło, jakieś przeczucie ze snu ją zbudziło. Wyjrzała, zobaczyła Jaśka pod niebem. Załamała ręcę, krzyknęła, i padła na ziemię zemdlona.

Ale Jaśko nie słyszał matczynego krzyku. Już był on wyżej, niż wieża kościelna.

Wtem się drzwi chałupy rozwarły szeroko i stanęła w nich matka Jaśkowa.

Zrazu chłopiec piął się po bobowej naci coraz wyżej i wyżej. Później zauważył, że nać jakby się przygięła, jakby równo nad ziemią biegła.

Pnie się Jaśko i pnie, a coraz to ku ziemi spojrzy. Wszystko tam takie malusie, takie dziwne, jak na śmiech!

Pola jak płatki, to zielone, to złote, to znów srebrne. Łąki szczawiem rudzieją. Bory się niebieszczą. Wody lśnią, jakby kto lusterek małych na kolorową, pasiatą materję ponaszywał!

A drogi ciągną się jak sznurki, drzewa przy nich jak paciorki! Ludzie — mrówki! Takie to drobne wszystko, malusie, ledwie się rusza!

Na gościńcu zamroczyły się drobne kropeczki. Patrzy Jaśko: co to? Skręciły na prawo. Coś je zawraca z powrotem na drogę, bo się zwinęły w jednem miejscu, jakby je kto zgarnął. Toż to owce! Stary pastuch Bałyka je na wygon wypędza!

Pnie się Jaśko dalej, pnie. Już minął pola rodzajne. Szara się pod nim pustynia rozścieła.

— Oho, już jestem nad Pustem Polem, — myśli sobie chłopak. Już mi niedaleka droga!

Wiatr nad pustoszą przewiewa. Szarpnął Jaśka raz, szarpnął drugi. Przywarł chłopak mocno do naci, obydwoma ramionami się trzyma.

Ale się wiatr na niego zawziął. To połomocze kamieniami, piaskiem podrzuci, pyłem zawinie, wrony popędzi, to znów skoczy do góry Jaśka szarpać. Gwiżdże między liśćmi, zwija nacie, skręca, Jaśka za poły kabata chwyta i miota nim w prawo, w lewo, naprzód, w tył.

Jaśko zęby zaciął i prze naprzód. Ale czuje, że iść coraz trudniej. Dech mu zapiera. Oczy łzawią.

A wiatr nic! Pogwizduje, liśćmi chłopca smaga, trzęsie nim jak gruszą i chichocze, śmieje się, aż się potacza po piasku!

Już myślał Jaśko, że nie strzyma, aż tu pod nogami poczuł coś twardego. Ogląda się. A on na murze zamku stoi. Dobra nasza!

Przywarł za murem i ani drgnie. Odpoczywa. Leży i rozgląda się.

Gdzie to on jest? Aha. To wieża. Tam drabina. Po niej można zejść na dach. Dach niebardzo stromy.

Jak kot zsunął się ku drabinie. Spojrzał w dół. Pod dachem zaraz jest chodnik kryty. Widać tamtędy straże przechodzą na wieżę.

— Odpocznę sobie odrobinę, — pomyślał Jaśko, — a później pójdziemy w gościnę do Hrolfa!

IX.

Zsunął się Jaśko z dachu. Chodnikiem przewinął się na schody kamienne. Po schodach spuścił się na podwórzec obszerny, wyłożony kamieniami, wielkimi jak bochny chleba.

Pusto! Ani żywej duszy! W jednym kącie leży kupa gnatów zbielałych!

Patrzy Jaśko — oczy mu skołczały z przerażenia! Ludzkie, ludzkie kości! Połamane, pogryzione, połupane! Piszczele, nie piszczele, żebra nie żebra, czaszki nie czaszki! Aż mrowie przeszło chłopaka na taką kostnicę!

— Widać to i prawda, co o Hrolfie gadali, że ludzi jak smok pożera i krew ich świeżą pije!

Idzie dalej, byle nie widzieć tego cmentarza.

Nogi ma Jaśko jak z masła, a w piersi dech mu zatknęło. Ale nic! Wyrwał się z podwórza przez małą furtkę na ganek murowany i cicho jak kot dalej się skrada. Powietrze świeże trochę go przewiało i zaraz się poczuł raźniej.

Patrzy — schodki kamienne. Drzwi mocno żelazem kowane. U drzwi rączka. Kołatka.

— Pukać, czy nie pukać? E, raz kozie śmierć!

Przestąpił Jaśko z nogi na nogę, przełknął ślinę, bo mu się nagle sucho w gardle zrobiło. Łap za kołatkę! Zapukał.

— Przyszedłem tu do was, pani gospodyni, zapytać się, czy wam aby jaka kura nie zginęła.

Ze zgrzytem, skrzypem, cirkaniem otwierają się ciężkie drzwi. Staje w nich Kachna. Koło spódnicy czarny się kot ociera, na Jaśka żółte oczy wybałuszył, nastroszył się, napuszył i parska. Kachna w Jaśka oczy wparła, palce do ust wsunęła i stoi. Ani drgnie! Ze zdziwienia mowę całkiem jej odjęło.

— Przyszedłem tu do was, pani gospodyni, zapytać się, czy wam aby jaka kura nie zginęła?

— Kura, powiadasz, kura? O jej, a tyś się skąd tu wziął? Kto cię tu przyprowadził?

— Samem przyszedł, pani gospodyni. Słyszałem, że kury chowacie, tom się przyszedł zapytać, czy wam ano nie zginęła kura. Taka kokoszka czarna, grzbiet ma jarzębiaty.

— Czarna, powiadasz? I grzbiet ma jarzębiaty? O jej, jej, jej! Pójdź no ze mną, pójdź, zobaczymy.

Kachna wzięła świecę woskową, zapaliła i poszła przodem. Jaśko za nią. Idą ciemnemi korytarzami. To w górę się spinają po schodach kamiennych, to zstępują w dół. Aż nareszcie trafili na długie przejście, już chyba pod ziemią, jak sobie myślał Jaśko.

Weszli na długą, wąską salę. Ciemno, choć oko wykol!

Co to? Jezu! Ludzie za kratą! Zobaczyli światło. Przypadli do krat żelaznych. Patrzą się.

Powiada jeden:

— Patrzcie! Złapał sobie Hrolf chłopca młodego. Będzie miał z niego wieczerzę. Może na dziś da nam spokój i żadnego nie każe zabijać.

— Ale! — powiada drugi: — będzie on go miał na jeden ząb, na dokładkę do Budzycha, którego dziś kolej!

— Brrr! — wstrząsnął się Jaśko, a po grzbiecie zimno mu przebiegło, jakby go kto lodową wodą oblał.

Co to? Jezu! Ludzie za kratą!

Ale nie dał poznać po sobie, że się zląkł. Idzie dalej za Kachną. Doszli do podwóreczka małego. Kur na tem podwórku aż się roi! I czarne, i czerwone, i siemieniate, i jarzębiate, z czubami i bez czubów!

Osobno w małej klatce siedzi kokosza czarna z jarzębiatym grzbietem.

— Toś mnie nastraszył: — krzyknęła Kachna i złapała się za piersi. Tak mi serce kołacze, że dotąd tchu złapać nie mogę! Oj, byłożby było, żeby ta kokoszka gdzie zginęła! Chybaby mi głowę urwał, albo żywcem zjadł!

— Kto?

— A mój mąż, Hrolf. Ale idź już, chłopcze, idź! Dobrze, że go niema. Ale jak wróci! Zginiesz za twoje dobre serce!

— Idę już, idę! Aleć wy, pani gospodyni, macie tu kurnik niezgorszy. Pi, pi, pi! Jeszczem takiego nie widział! Niosą się aby te kury?

— Iiii, co to za kurnik! — skrzywiła się Kachna. Dla kogo ja tu mam mieć drób? Czy on choć spojrzy na jajko? Jak mu raz upiekłam tłustego kapłona, to myślałam, że mnie zabije! Nic, tylkoby mięso jadł i to jakie! Idź, chłopysiu, idź, a prędzej! Żal mi cię! Idź, idź!

A kaczek tu nie trzymacie? — zagadywał babę Jaśko, któremu nie pilno było z pustemi rękami wychodzić.

— Kaczek? A na czemby tu one pływały? I, powiem ci, że mi już to życie obrzydło! Te trochę kur, co tu mam i to muszę przed nim chować! A onby się miał na to zgodzić, żebym kaczki, albo gęsi trzymała! Ani mi w głowie było, że to tak będzie, że to takie będzie moje szczęście!

— Lepiej było w Mirachowie? — zagadnął ją Jaśko.

— Znasz Mirachowo? Tam było życie! Samych łabędzi miałam dwadzieścia! A gęsi, a kaczek! Ha, gdzie te czasy, gdzie!

I rozpuściła baba język. Zaczęła opowiadać, jak to było w Mirachowie, jakie to ona tam miała gospodarstwo, jaką szafarnię! Ile miodu warzyła, ile piwa, ile gorzałki z żyta pędziła! Gada i gada, a Jaśko słucha i coraz o coś zapyta.

Wtem szczęk, brzęk, brama się otwiera. Już słychać, jak wierzeje skrzypią.

— On wraca! O ludzie moi kochani! A tu jeszcze wieczerza nie gotowa! Co ja z tobą zrobię, gdzie ja cię ukryję!

Zadreptała w miejscu Kachna, ogląda się na wszystkie strony, popycha Jaśka to tu, to tam. A drży cała, postękuje, wzdycha!

— O ludzie kochani! O dolo moja! Pocoś ty tu wlazł nieproszony! Ady on cię zje i nawet nie posmakuje! A jeszcze

Wlazł Jaśko do kotła. Ledwie się zmieścił z głową.

w Mirachowie był! Pójdź ty chłopaku zatracony! Wezmę cię ze sobą do kuchni, schowasz się do kotła, to może cię on nie wywącha!

Porwała Kachna Jaśka ze sobą i ciągnie do kuchni. Przetoczyli się przez korytarze, a tak prędko, że pantofle Kachny tylko świstały w powietrzu. Wpadli do kuchni.

W rogu stał piec, a w nim był kocioł wmurowany. Kachna uniosła pokrywy i woła na chłopca:

— Właź! A żebyś mi nie śmiał pisnąć!

Wlazł Jaśko do kotła. Ciasno mu było, bo ciasno! Ledwie się zmieścił z głową. Baba upchnęła go, ugniotła, nakryła pokrywą i podreptała na spotkanie Hrolfa.

X.

Słychać ciężki tupot, jakby kto kołem w podłogę walił. To Hrolf!

Szlurpią pantofle Kachny. Coraz bliżej i bliżej. Już, już są!

Skrzypią drzwi kuchenne. Dudni kamienna podłoga. Stąpory ciężkie zatrzymały się.

— Czuję świeże mięso! — ryczy Hrolf.

— Już też po mnie! — myśli Jaśko i ciarki mu przelatują po grzbiecie.

Drży na kotle pokrywa, o brzegi kotła dzwoni.

— Będziesz sobie smakował! — powiada Kachna. Jeszcześ takich dobrości nie jadał! Siądź sobie za stołem, zaraz ci usłużę.

Hrolf siadł ciężko, aż krzesło skrzypnęło pod nim. Kachna w misy brzęka, obiad zastawia.

— Daj mi też zaraz tego, co się w kotle gotuje! — ryczy Hrolf.

Musi być gorące. Wre, aż pokrywa podskakuje.

— Naprzód sobie pojedz żuru, a później sobie posmakujesz frykasów. Zwyczajne jadło jużby ci po tamtem nie smakowało, mój mały chłopysiu!

Przekomarzał się z Kachną Hrolf, ciągle się o łakotki przymawiał. Ale, że głodny był, a baba ustąpić nie chciała, więc się zabrał do jedzenia.

Żarł i żarł! Mlaskał językiem, cmokał wargami, parskał, prychał, gwizdał nosem. A kości trzeszczały w zębach ludojada, jak smolne trzaski na ogniu!

— Dawaj teraz tamtego! — woła na Kachnę potworzysko.

Jaśko słyszy, że Kachna idzie do kotła. Już bierze za pokrywę, podnosi. Nastawił chłopiec na babę oczy, a ta palec tylko do ust przytknęła i szepcze:

— Ani mrumru!

I wielką warząchwią, co ją trzymała w ręku, nuż niby to w kotle mieszać, obracać, do wielkiej michy jak dobra balja nakładać! A kurzyło się z tej michy! Dymy z niej biły mdłe, aż Jaśkowi w nosie kręciło.

Zasunęła Kachna pokrywę i idzie do stołu.

Hrolf rzucił się na jadło, spróbował raz, dziabnął drugi, i powiada:

— Dobry ale tylko sos, bo mięso takie same twarde, jak ze starego Budzisza!

Widać jednak wyjadł ludojad wszystko do czysta, bo niezadługo słychać było, jak łyżka o dno dzwoniła.

— Kachna! Najadłem się! Trzeba się zabawić! Jaki to dzisiaj dzień?

— Kokoszki, — odpowiada Kachna.

— Dalej, przynieś kokoszę! Dawaj ją tu!

Zagdakało coś, zacipkało.

— Kto ma kokoszy śpiewać? — pyta Kachna.

— Ja będę śpiewał! — ryknął Hrolf.

— Znów będzie kurzysko po całej kuchni latać! — perswaduje Kachna.

— Nie sprzeciwiaj mi się! — wrzasnął na babę Hrolf i jak ryknie:

Taka moja wola, ochota —
Nieś mi jajka ze złota!

Jaśko słyszy — kura się miota po kuchni, skrzydłami po ziemi zamiata! Już wskoczyła na kuchnię! Biega naokoło pieca! O jej! Już pokrywa się trzęsie! Skoczyła na kocioł!

Jaśko się wcisnął głęboko, jak tylko mógł! Obsunęła się nieco pokrywa, ale nie spadła!

Uf! Dziękować Bogu! Mogło być gorzej!

Przez szparę Jaśko spojrzał na kuchnię. Widzi — Kachna złapała kokoszkę, postawiła ją na stole, pszenicę przed nią rozsypała.

— Śpiewaj ty! — wrzasnął na Kachnę Hrolf.

Kachna dobyła z siebie głosu takiego cienkiego, że mysi pisk jeszcze się gęstym basem przy tem cipkaniu wydawał, i zaśpiewała:

Taka moja wola, ochota —
Nieś mi jajka ze złota!

Kokoszka się nasurzyła, nastawiła pióra, gdaknęła raz, gdaknęła drugi. Bęc i padło złote jajko na stół.

Hrolf pogładził kurę po jarzębiatym karku. Głaskał ją i głaskał, a coraz wolniej, coraz senniej. Aż też naraz głowa opadła mu na poręcz krzesła i zasnął.

Jak też on chrapał, jak chrapał! Buczało, dudniało w całej kuchni! Wszystkie garnki na półkach dzwoniły! Drzwi tłukły się w zawiasach, jakby niemi wiatr szamotał! Grzmoty!

Kokosza się nasurzyła, nastawiła pióra, gdaknęła raz, gdaknęła drugi.
Bęc i padło złote jajko na stół.

— Chłopcze! — szepnęła Kachna. Wyłaź z kotła! Zabieraj się i idź dopókąd on śpi!

— Pani gospodyni, a nie mógł jabym się tu u was na zawsze zostać? Kur bym wam dopatrzył! Ho, ho! Ja się na tym znam, jak nikt! U nas we wsi nawet gęsi sołtysce, uważcie pani, samej sołtysce, pasałem!

Jaśko z cudowną kokoszą w ręku skoczył w drzwi.

— A wytrzymałbyś ty tu?

— Cobym nie miał wytrzymać? Wytrzymam. Zawsze mnie tylko, pani, w ten kocioł, co dziś, chowajcie, lepszego schowania mi nie potrzeba.

— To i zostań, zostań. Będę miała z ciebie wyrękę. A trafisz do kur?

— Trafię.

— No, to weź tę kokoszkę i odnieś do kojca. A pamiętaj, żeby ci nie uciekła, bo zginiesz marnie ty, a i mnie się dostanie. Masz!

Jaśko z cudowną kokoszą w ręku skoczył w drzwi. Przebiegł korytarze, wypadł na małe podwóreczko, stamtąd szmygnął w drzwi, przy których była kołatka. Gankiem dostał się na dach, do tego miejsca, gdzie bób się na wieży wspierał. Stanął na samym skraju muru, złożył dłonie przy ustach i krzyknął:

— Jędrzychna! Jędrzychna! Bywaj!

— Jestem, jestem — odpowiedziała Jędrzychna z ziemi.

— Trzymaj kokoszę-złotonoszę!

I puścił kokoszę w przepaść. Kura rozpostarła skrzydła, ale się na nich utrzymać nie mogła. Spadała ciężko jak kamień.

— Macie? — spytał Jaśko.

— Mam.

— Bądźcie tu jutro o tej samej porze! — zawołał chłopiec i wrócił do zamku.

XI.

O szarym brzasku Hrolf wyjechał z zamku na wyprawę.

Jeszcze się dobrze nie rozwidniło, już Kachna leci do kurnika.

Aż jej się usta szeroko otworzyły z podziwu, jak zobaczyła, co Jaśko w kurniku za porządki porobił!

Ani śladu śmiecia! Czyściuchno wszędzie, aż się lśni! Kury w kojcach! Przed każdym kojcem korytko! Woda nalana, ziarno zasypane!

W srebrnej klatce czarna kokosza siedzi. Podeszła ją Kachna pogłaskać. A kura jak ją kujnie dziobem! Niezłą dziurę jej w nosie wyrwała!

— Co jej się zrobiło, tej kokoszy, że taka zła? — dziwi się Kachna. Nigdy taka nie była! Zawsze taka łaskawiutka, jak małe dzieciątko.

— Musieliście ją wczoraj dobrze zgonić, — odpowiada Jaśko, — to jeszcze dzisiaj wam to pamięta i boi się.

— A tyle razy go proszę, żeby nie śpiewał! Raz, jak krzyknął głośniej, tynk ze ściany obleciał i omal nie zabił kota. Ta siemieniatka jakoś nie je!

— Będzie jadła, będzie. A jak tam z kaczkami, pani gospodyni? Będziemy to mieli kaczki? A i gąskiby się nam przydały! Puchuby na poduszki potrzeba.

— Oj, potrzeba, potrzeba. Jakie to ja miałam gęsi kiedyś...

— W Mirachowie?

— W Mirachowie.

I znów Kachna opowiada, jak to było dawniej, zanim ona Hrolfa nie znała. Do samego południa gadała.

Pod wieczór Jaśko nieproszony, niewołany wzlazł do kotła, przykrył się pokrywą i siedzi.

Szczęk-brzęk, brama się otwiera. Słychać ciężki tupot. Szlurpią pantofle kaszczyne.

Skrzypnęły drzwi kuchenne. Dudni kamienna podłoga. Zatrzymały się kamienne stąpory.

— Czuję świeże mięso! — ryczy Hrolf.

— Dostaniesz, dostaniesz, — powiada Kachna i prowadzi Hrolfa do stołu.

— A co tam masz w kotle? — pyta Hrolf i już łapę wyciąga do pokrywy.

— Nie rusz, bo się sparzysz! Nie widzisz jakto pokrywa od gorąca skacze? — woła Kachna i ledwie potwora za łapę zdążyła schwycić.

Oj, skakała pokrywa, skakała, ale nie z gorąca, tylko z tego, że Jaśko ze strachu w kotle dygotał!

Usadziła baba Hrolfa i nuż go częstować. Najadł się ludojad, nażarł i mięsa ludzkiego i szpiku, który wysysał z kości aż mu w gardle grało. Dopomina się o to, co w kotle.

Znów Kachna podeszła do kotła i znów nakładała niby wielką warząchwią niewidziane smakołyki.

Postawiła dymiącą michę przed Hrolfem i powiada:

— Jeszcześ tego nie jadł! Wiesz ty co to jest?

— Skąd mam wiedzieć, kiedym, jak powiadasz, tego nigdy nie próbował?

— To jest chłopak młody, jeszcze dziesięciu lat nie ma!

— Ohoho! — zdumiał się Hrolf, dziabnął widelcem raz — zjadł, dziabnął drugi i powiada:

— Żebym nie wiedział, że to chłopak, tobym myślał, że wołowina ze starej krowy. Mięso mdłe i flaczate! Nie dawaj mi więcej takich niedorostków! Sos dobry, mogłoby co lepszego w nim pływać!

Najadł się, napił potwór i powiada:

— Chcę się bawić. Jaki to dzisiaj dzień?

— Worka, — odpowiada Kachna.

— Dawaj worek!

Kachna postawiła na stole worek, do połowy wypchany. Hrolf sięgnął niedźwiedzią łapą do środka i wyjmował złote dukaty jeden za drugim. Brząkał każdą sztuką złota o stół, a później układał je w równe kupki jedną przy drugiej.

Znudziła go ta zabawa, spać mu się zachciało.

— Kachna, — powiada, — idź do swojej roboty! Będę spać. Żeby mi się po kuchni nikt nie szwędał i mnie nie budził, bo zabiję!

Kachna zniknęła, jakby ją kto wymiótł.

Hrolf wyciągnął się na krześle, rozłożył szeroko. Chrapnął raz, stęknął, chrapnął drugi i już śpi na oba uszy.

Jaśko poczekał dłuższą chwilę, aż się Hrolf dobrze roześpi. Podniósł pocichuteńku pokrywę i wyjrzał. Nic, cicho. Wysunął się z pieca i sunie po podłodze. Oczu z Hrolfa nie spuszcza. A widział go dobrze, bo się ludojad do spania przy kominku ułożył i światło na samą twarz mu padało.

Już podpełzł do samego stołu, na którym leżał worek.

Hrolf sięgnął niedźwiedzią łapą do środka i wyjmował złote dukaty jeden za drugim.

Już go ma, już go ze stołu dźwiga. Ciężki worek! Nie mógł go Jaśko na plecy sobie zadać, więc po ziemi wlecze.

Aż tu naraz z pod krzesła pies wyskoczył i nuż ujadać!

— Ostatnia moja godzina! — pomyślał Jaśko.

Zobaczył na stole kość. Cisnął ją psu. Ucichł.

Skoczył Jaśko do drzwi, przecisnął się przez szparę, bo Kachna drzwi umyślnie nie zamknęła, i w nogi!

Przebiegł korytarze, wypadł na małe podwóreczko, na dach, stanął na samym skraju muru i krzyknął:

— Jędrzychna! Jędrzychna! Bywaj!

— Jestem, — odpowiedziała Jędrzychna.

— Mam worek!

— Nie rzucaj! Zejdź z workiem na ziemię! Matka chce cię widzieć!

— Olaboga! Pewnie się z niepokoju pochorowali! Już lecę!

Wciągnął worek na mur, zadał sobie go na plecy i jazda po bobie w drogę!

XII.

Idzie i idzie. Już mu w księżycowem świetle pola migają. Zaraz i wieżę kościoła widać. Żarnów. Nacie bobowe przykro w dół się spuszczają. To już i chałupa matczyna.

Zeskoczył z bobowej naci biegnie do chaty. A worek za sobą wlecze.

Matka na łóżku leży, a blada taka, jak z opłatka! Rzucił się Jaśko matce do nóg. Ściska, całuje.

Poznała go matczysko, własnem oczom nie wierzy! Jejże to Jaśko? Zdrów, cały? Prawda to, co jej Jędrzychna powiadała? I ta kokoszka prawdziwa, nie przywidzenie?

Boże, co to była za radość, co była za uciecha!

Kazała sobie Marza wszystko po porządku opowiadać jak i co było. Dopóźna w noc gadali i nagadać się nie mogli.

Błękitnie się w izbie zrobiło, jak to zawsze przed wschodem słońca o brzasku srebrnym bywa. Zerwał się Jaśko.

— Trzeba mi w drogę! Muszę o świtaniu w zamku być! Bądźcie, pani matko, zdrowi. Jutro wrócę o tej samej porze, albo i trochę później. Nie martwcie się o mnie, bo już ja sobie wszędzie radę dam.

Matka na łóżku leży, a blada taka jak z opłatka.

Chciała go matka zatrzymać, ale się wyprosił, ucałował ręce matce i poszedł.

Kachna już była w kurniku. Karmiła jęczmieniem czarną kokoszę i nadziwić się jej złości nie mogła.

— Żebym nie wiedziała, że to ta sama kokoszka, tobym myślała, że ją kto odmienił! — dziwiła się.

— Ażebyś wiedziała, babo, że ją odmieniłem! Nie zobaczysz ty tamtej, jak swoich uszu! — pomyślał Jaśko.

— Co to wczoraj było, co to było — opowiadała Kachna Jaśkowi. Worek, wiesz, ten worek, co mi go on kazał przynieść do zabawy, zginął! jak kamień w wodę wpadł! Szukałam go ja, szukał on! Przepadł. Wiesz ty gdzie ten worek?

— Skądbym miał wiedzieć? — powiada chłopiec.

— No, to ja ci powiem. On go sam gdzieś schował i teraz udaje, że o niczem nie wie! Już on tak nieraz robił mnie na złość. Raz dostałam indyczkę. Śliczniusia była, powiadam ci, rajski ptaszek, cacuchno! Nie spodobała mu się, że niby cirka płaczliwie! Jak kto chce, żeby mu ptak śpiewał, to sobie słowika chowa, nie indykę! Zabrał mi moją indyczuchnę i tylem ją widziała! Też się wypierał, że o niczem nie wie. Taki to on jest!

— Lepiej było w Mirachowie! — podpowiedział Kachnie Jaśko

— Oj, lepiej, lepiej! — westchnęła Kachna i nuż jak codnia opowiadać dokoła Wojtek to samo i to samo.

Jak się nagadała, pyta ją Jaśko:

— I nie żal to wam, gospodyni, było rzucić Mirachowo i wydawać wszystkich takiemu ludojadowi, jak wasz?

— To on wszystkiemu winien! Co on mi naobiecywał, co on mi naopowiadał, jaką to ja u niego panią będę, jak nic nie będę robiła, jak będę miała wszystkiego w bród, czego tylko zachcę! Tak mnie otumanił, żem mu uwierzyła. I co? Nawet kaczek mi trzymać nie pozwoli, a indykę mi gdzieś zakatrupił!

— A ludzi, co ich Hrolf zabija, wam nie żal?

— Ludzi? Najbardziej mi żal tych łabędzi, co mi ich ze sobą wziąć z Mirachowa nie pozwolił. A takie łaskawiutkie były jak te gołąbki!

— Gorszaś ty baba, niżby się zdawało! — pomyślał sobie Jaśko, — boś i zła i głupia i nic ludzkiego w tobie niema. Tak ptaków żałujecie, a ludzkiej krzywdy wcale nie widzicie! — powiedział głośno.

— Już ja mam takie miękkie serce. Ptakabym za nic nie zarżnęła.

— A człowieka?

— Ja ich tam też nie zarzynam, tylko rzeźnik, Kuno, co po gościńcu chodzi i krowy skupuje na mleko i na masło. Mój mąż bardzo wybredny i bylejakiego masła nie będzie jadł, oho!

— Dla wszystkiego, co żyje, jednako dobrym trzeba być. Każdy ból, każda łza jednakim się kamieniem na serce kładzie!

— Ale! Będzie mnie tu uczył taki smarkacz! Pilnuj kur! A nie, to cię jemu wydam!

— Nie wydacie, nie wydacie! — powiedział spokojnie Jaśko. Bo też musiałoby się wydać, żeście mnie przez dwa dni przed nim chowali. A i on sam wam zapowiedział, żebyście mu mięsa z młodego chłopca nie dawali, bo mu takie mdłości nie w smak!

Kachna nie odpowiedziała nic, tylko się napuszyła, nabundziurzyła jak indyk i poszła.

XIII.

Jaśko tym razem nie chował się do kotła. Dzień był gorący, parno było, jak przed burzą. Na kominie nie będą pewno palić, bo i tak gorąco w kuchni, jak w łaźni.

Wsunął się więc chłopak głęboko w kominek i siedzi.

Przyszedł Hrolf. Pociągnął nosem.

— Czuję świeże mięso! — ryczy i rozgląda się po kątach.

Kachna, że była zła na Jaśka, powiada:

— Coś się tu dla ciebie dobrego warzy w tym kotle! Zajrzyj no!

Hrolf łap za pokrywę! Unosi, zagląda. Niema nic. Zajrzał jeszcze raz. Pusto w kotle, tylko się w nim dwie myszy gonią, co przypadkiem wpadły.

Jak też wrzaśnie na Kachnę! Zmartwiała baba na kamień! Broda się jej trzęsie, słowa wymówić nie może, tylko coś bez związku bełkocze, jakby gorące kluski w język ją parzyły.

— Dawaj jeść! Jaki to dziś dzień?

— Wto — wto — wto — rek, wybełkotała Kachna.

— Nie o to chodzi, głupia babo! Aha, to dziś dzień muzyki, bo wczoraj był worek. Dawaj jeść, przynoś muzykę i żeby tu noga twoja nie postała.

Niesie Kachna jedzenia michy za michami, stawia przed Hrolfem, przynosi harfę złocistą i już jej niema. Tak prędko uciekała, że drzwi ostawiła naoścież otwarte, jak wrota.

— Śpiewaj, kiedy ci każę, — wrzasnął Hrolf.

Hrolf zjadł wszystko, wyczyścił wszystkie miski do dna, odsunął je daleko od siebie. Postawił przed sobą harfę i powiada:

— Śpiewaj!

Harfa jęknęła strunami złotemi cicho, cichutko. Jakby się cichy wiatr po trawie przesunął, jakby kto srebrne poruszył dzwoneczki.

— Śpiewaj, kiedy ci każę, — wrzasnął Hrolf.

Zaszumiało w strunach, przewinął się przez nie wiew dziwny, później się wyrwał jęk beznadziejnie smutny, taki bolesny, że i człowiek najsmutniejszy boleściwiej skarżyćby się nie potrafił.

Wietrze od morza, pośle mej krainy,
Usłysz ten płacz mój i ten jęk niedoli!
Powiedz w ojczyźnie, że pan mój jedyny
Zginął w niewoli!

— Milcz! — wrzasnął Hrolf. Masz śpiewać o mnie tę pieśń, której cię nauczyła Hilda jednooka!

Harfa milczała.

— Nie chcesz? Czekaj, ja cię nauczę! — ryknął Hrolf. Schwycił harfę i cisnął ją w kąt.

Jęknęły struny, zazgrzytały przykro, jakby kto nożem po szkle przeciągnął. Później huknęły głośnym akordem, a jednocześnie rozległa się pieśń:

Zginiesz, Hrolfie, za twoje
Mordy, zabójstwa, rozboje!

Hrolf cisnął w harfę ciężką butlę, która stała na stole, zarzegotał śmiechem skrzypliwym, rozsiadł się szeroko na krześle, nalał sobie z wielkiego dzbana piwa gęstego, jak miód.

Popijał wolno, głośno ciamkając przytem i mlaskając językiem. A głowa opadała mu coraz niżej na piersi, coraz niżej, aż zasnął.

XIV.

Chrapie Hrolf, chrapie, aż się rozlega po całym zamku!

Jaśko wysunął się z komina. Obejrzał się dokoła. Psa niema! Kot się tylko czarny wyleguje na stole i mruczy, bulgocze, jakby się woda w nim gotowała.

— Dobra nasza! — myśli sobie Jaśko.

Przesunął się pod ścianą aż do miejsca, gdzie stał piec i kocioł, w którym wczoraj i przedwczoraj chłopiec był zamknięty. Stamtąd tylko dwa kroki do tego kąta, gdzie na ziemi leży harfa.

Kot, co zawsze lekko śpi i wszystko słyszy, otworzył żółte oczy i patrzy na Jaśka. A niech sobie patrzy!

Jeszcze jeden krok. Kot podniósł się na przednie łapy, wytrzeszczył ślepia, a ogon mu chodzi na obiedwie strony, jak wahadło od zegara. Zły.

Jaśko stąpnął jeszcze odrobinę. Kot poderwał się, wygiął grzbiet w łuk, wysunął przed siebie przednie łapy, i tańczy, przebiera łapskami na stole.

Jaśko już jest przy harfie. Podniósł ją z ziemi.

Spłakana cała! Łzy jej płyną po policzkach, wielkie jak groch!

Spojrzała wreszcie na Jaśka.

— Ktoś ty? — zawołała.

— Chodź ze mną! — szepnął jej chłopiec. Zabiorę cię do Jędrzychny!

Huknęło w strunach, buchnęło z nich taką radością, jakby się najweselszy śmiech rozległ w olbrzymiej pustej sali.

Jaśko chwycił harfę pod pachę i w nogi!

A kot wrzasnął, miauknął przeraźliwie, wskoczył na Hrolfa, wpadł mu w kudły stargane i nuż go tarmosić, szarpać!

Obudziło się wreszcie potworzysko, ale nie wie nic, tylko tyle, że mu się kot we włosy wczepił i targa.

Złapał kota i szmyrgnął nim w kąt. Ale kot ani dba o ból. Miauczy, piszczy, skacze na stół, ze stołu wraca do kąta, z kąta znów na stół, coś pokazuje, coś opowiada.

Ocknął się Hrolf. Patrzy na kota. Nie może zrozumieć, czego kocur chce od niego. Spojrzał tu, tam — nic. Aż rzucił okiem w ten kąt, gdzie cisnął harfę. Niema harfy! Coś go tknęło. Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Coś mu się o uszy obiło, jakby daleki tupot nóg. Ktoś korytarzami biegnie, a śpieszy się, wyrywa, co sił!

Hrolf wyszedł na korytarz i nasłuchuje. Dłoń koło ucha zwinął i słucha. Tak! Napewno ktoś ucieka!

Skoczył olbrzym, biegnie, coraz prędzej pomyka.

Aż tu w pustym korytarzu śpiew się rozlega. Hrolf poznał głos harfy. Tylko nigdy nie słyszał potwór, by harfa śpiewała pieśń taką radosną, taką pełną szczęścia!

Pękły okowy! Pieśń wolna ulata
Do słońca na niebios błękicie,
Stamtąd świat cały miłością oplata!
Wolność — to życie!

Hrolf biegnie coraz szybciej. Drży ziemia pod tupotem nóg przeolbrzymich. Dygoczą mury od tętętu!

Mignął mu na zakręcie Jaśko, trzymający harfę rozśpiewaną. Prędzej, prędzej! Hrolf sadzi naprzód, jak jeleń skacze. A nożyska długie, jak szczudła!

Nie sprosta Jaśko tej pogoni.

Wtem Hrolfowi drogę Kachna zastąpiła. Schwycił ją ludojad za gardło.

— Ktoś porwał harfę cudowną i ucieka! — woła do niej. Kto puścił tego chłopca?

— Kury, ku-ku-ku-ry-ry! — jęczała Kachna przyduszona.

A Hrolf szarpał babę i miotał nią o ścianę.

— Kto? — wrzasnął olbrzym. Kto? Tyś go puściła! — ryknął i cisnął Kachną o ścianę tak mocno, że się babina spłaszczyła, a później rymnęła na ziemię bez tchu.

A Hrolf biegnie dalej, a coraz większemi skokami sadzi, chcę czas stracony na rozmowę z Kachną wyrównać.

Już wypadł na dziedziniec, już jest na dachu. Trzeszczą krokwie pod olbrzymiemi buciorami.

Drży drabina, po której się wspiął za Jaśkiem na wieżę. A chłopca tylko co ręką sięgnąć!

Jaśko już dopadł bobu. Już się po naci pnie. A harfa go krzykiem podnieca.

— Prędzej, prędzej!

Do potwora się głowa zwraca, parska mu w twarz śmiechem, drwi z niego, naigrawa się:

— Napróżno! Nie wysilaj się! Nie dostaniesz mnie poraz drugi!

Ucieka Jaśko co sił w nogach, co zręczności w rękach, które się liści chwytają, gałązki obejmują, wąsów się czediają.

Za jednym zamachem przerąbał wszystkie!

Tuż nad Pustem Polem omal mu się noga nie obsunęła. Musiał się Jaśko na okamgnienie zatrzymać. Ręka Hrolfa już włosów mu sięgała! Palce twarde za kosmyk włosów chłopca schwyciły. Trzymają, jak w kleszczach!

Szarpnął się Jaśko mocno. Wić włosów jasnych Hrolfowi w ręce została!

Gonią się dalej!

Ale Hrolf już sapie, już go taka złość porywa, że mu krew oczy zalewa. Depcze coraz silniej, coraz mocniej za wątłe gałązki się chwyta. Raz wraz coś mu w ręce pęknie, coś się mu pod nogą załamie!

Urwała mu się gałęź pod nogą! Tylko na rękach zawisł i majta bezradnie w powietrzu niemocnemi nogami! Omal nie rymnął na ziemię. A byli wtenczas nad samem jeziorem!

— Nie top się, Hrolfie, nie top! Zginiesz ty inną śmiercią! Inna tobie śmierć sądzona! — drwiła z ludojada harfa.

Zgrzytnął Hrolf ze złości zębami, ale się zmógł i znów sadzi po bobowej naci.

Urwała się gałązka jedna, urwała i druga, co się po nich wielkolud wspinał. Ledwie się zdążył za pień obiema rękami schwycić! A właśnie przełazili nad samym domem leśnika, nad samym kominem, z którego dym gorący buchał.

— Nie rzucaj się w ogień, Hrolfie, nie rzucaj! Inną ty śmiercią zginiesz, inna tobie śmierć sądzona! — drwiła harfa.

Już i Żarnów widać. Kościół. Topole. Już i chata Jaśkowa.

Oho! Już ich Hrolf nie dogoni! Dobre kilka stajań za nimi został!

Dopadł Jaśko ziemi. Oparł harfę o ścianę chałupy. Biegnie do komórki. Łap za siekierkę. Podciął jedną nać, podciął drugą u samych korzeni. Zabiera się do trzeciej.

Jak ciął, za jednym zamachem przerąbał wszystkie!

Co to? Ziemia się zatrzęsła, domy podskoczyły do góry, ludzie z łóżek powypadali! Psy wyskoczyły na drogę i wyją przerażone! Czy to nie koniec świata? Ziemia się w posadach obruszyła i leci po niebieskim przestworze niewiadomo gdzie, niewiadomo dokąd?

Nie.

To Hrolf rymnął na ziemię razem z nacią bobową, przez Jaśka podciętą, która potwora już utrzymać nie mogła!

XV.

Co też to za chmura ciężka pół nieba zasłania? Co się to stało, że tyle się wron w powietrzu unosi, blask słoneczny mąci, a tak kraczą, jakby się powietrze na kawałki darło?

Nie chmura to, nie chmura! Dym się w kłęby zwinął bure i ciężko się po niebie rozwłóczy.

A cóż się to pali na Pustem Polu?

Zamczysko Hrolfa ludojada doszczętu gorzeje!

Któż to ogień podłożył pod taki gmach z kamienia, gdzie mieszkał potwór niemiecki, krwi naszej nigdy niesyty?

Jaśko z Mirachowa.

Który? Ten, co z matką w Żarnowie mieszkał? Nie powiadajcie byle czego! Toć go wszyscy za nicdobrego mieli!

On, on sam. Za ojcowską cześć się ujął. Odebrał on Hrolfowi to, co jego ojcu Jędrzychna niegdyś na przechowanie dała, a co Hrolf ukradł, życia pana Cztana pozbawiwszy!

Taki skrzat, ledwie od ziemi odrósł i ludojada pokonał! A nabrał też on, nabrał bogactw w tym zamku wspaniałym!

Nie było tam bogactw w tym zamku, tylko były łzy ludzkie i krzywdy nienaprawione i nigdy niewyrównane! Ani dźbła, ani tyle, co na owinięcie palca, nie wziął on z zamku dla siebie. Spalili wszystko, z ziemią zrównali mury, a na tem miejscu, gdzie był zamek, Jaśko kościół wymuruje wspaniały.

A nikt się też z zamku nie uratował?

Oj, uratowało się niemało luda! Ci, których Hrolf nie zdążył zamordować, wszyscy zdrowi wyszli. Wziął ich Jaśko do swojej drużyny.

Cieszyłyż się ich oczy na widok światła dziennego, cieszyły! Ale najwięcej pewno cieszyła się Jędrzychna ze skarbów odzyskanych, z kokoszy-złotonosy, z worka bezdennego, z muzyki cudownej!

Nie ze skarbów cieszyła się Jędrzychna, nie ze skarbów, tylko z tego, że Jaśko jej córuchnę najmilszą zdrową i całą z zamku wyprowadził i do rąk oddał.

Że się też ona uchowała u takiego ludojada, że jej nie pożarł ten zwierz nienasycony!

Chował ją sobie, aż dorośnie, bo małych dzieci podobno nie chciał on jadać, zbyt już mdłe dla jego wypalonej gęby były.

A ładnaż ta jędrzychnina córka?

Jak ten majowy ranek! Świeża, pachnąca! Jak śnieg biała, jak młode słonko różowa, jak miód słodka, a przylepna! Odejść się od niej nie chce. Same oczy na nią spoglądają!

Będzie się też pewno Jaśko z nią żenił?

Ale! Przecież to dziecko jeszcze! I on, i ona! Teraz on nad Wieczne Jezioro jedzie, grodzisko ojcowe będzie z gruzów dźwigał.

A pani Marza świata pewnie za swoim chłopcem nie widzi?

O, bo też to dobry syn! Nawet w Mirachowie nie było pani Marzy tak dobrze, jak teraz! W złocie chodzi, na srebrze jada, cztery konie jak ptaki ją noszą, a syn ją coraz po rękach całuje, pyta, czy jej czego nie brak!

Ale! A skądże on taki bogacz? I grodzisko na Wiecznem Jeziorze buduję i matkę w złoto stroi, i na srebrze jadają! Jedną krowinę mieli i tę sprzedali?

Jędrzychna mu to wszystko oddała, co na Hrolfie zdobył. Sobie tylko cudowną muzykę zatrzymała, bo jej o mężu, co go bardzo miłowała, ta muzyka śpiewa.

Cuda, cudeńki!

Chwat chłopak!

Samego pana Cztana z Mirachowa syn!

XVI.

Kto też to jedzie na cisawym koniu?

Sam pan Jaśko z Mirachowa.

A za panem jedzie czeladź wierna, psy biegną nieodstępliwe, sokoły ostrowidze na ręku sokolników w kapturach drzemią.

A kogóż to biały konik obok pana Jaśka niesie, kopytami o miękką trawę bijąc, jakby tańczył?

To pani Jaśkowa z Mirachowa, Jędrzychny, dobrej wiedźmy, córka rodzona. Wracają od ślubu.

Nie widzicie to grajków, co idą na przedzie?

Idzie gęślarz stary! W ręku ma gęsiołki, smykiem brzozowym ze strun taką muzykę dobywa, że nietylko człowiek, kamieńby skakał słuchając, tyle, że kamień uszu nie ma.

A gęślarz cirli na tej najcieńszej strunie, po tej grubszej lekko się przemyka, na tej najgrubszej takt odbija.

Za nim idzie bas. Pudło na brzuchu wsparł, smykiem po strunach kraje ostro, jakbyś piłą rżnął, a zamaszyście, tęgo, jakby kto po ziemi ostro przytupywał.

Zaraz obok idzie taki, co w piszczałkę dmucha. Nadął się, nasrożył, oczy mu krwią nabiegły. Palce mu po dziur-

kach jak oszalałe latają, piskające śmiechy gonią, napędzają, naglą, żeby się zdawało, jakby wszystkie kosy, wszystkie wilgi w całym lesie szalały z uciechy.

A za gęślarzem, za basistą, za piszczałką idzie bęben. Miota nim chłop na dwie strony, łokciem go pobija, po otoku palcem przejeżdża, łaskocze. To huknie bębnisko śmiechem, to dzwonkami zarechocze, to się krzykiem dudniącym zaniesie!

Hej, weseleż to, wesele!

Już wyjechali z lasu. Wesołym, rozćwirkanym wiankiem po drodze się wiją. Na górkę, na pagórek, jak wąż tęczowy się spinają.

O, a cóż to się czerwieni z jeziora?

Tam na mierzei, która jezioro przecina, w tem miejscu, gdzie mierzeję bystrzec przerywa, na mieliźnie, zamczysko się rozsiadło wspaniałe! Najeżyło się wieżycami, opasało się murem wysokim i czeka na pana.

— Bywaj, bywaj! — wołają straże na zamku.

Skrzypią łańcuchy mostu, co już płaską ręką drugiego brzegu kanału sięga, do środka zapraszając.

Głucho dudnią bale dębowe. Jedzie naprzód sam pan Jaśko z Mirachowa na cisawym koniu. Obok niego pani Jaśkowa na białym.

Zeskoczyli z koni. Paniom matkom do nóg się pokłonili.

Białe włosy zdobią skronie Marzy i Jędrzychny, w oczach łzy szczęścia błyszczą.

Długi orszak weselny idzie do wspaniałych komór przestronnych po schodach złocistych.

A jakie bogactwo w komorach, jaki przepych w kom-

natach! Ani tego oko ludzkie nie widziało, ani mowa ludzka nie wypowie!

Siedli za stoły. Obrusy na nich jak pajęczyny. A sreber! A złota!

Oczy się do smakołyków rozbiegają, nie wiadomo, co wpierw do ust włożyć!

Najedli się, napili. Teraz tańczyć!

Zagrała muzyka. W pierwszą parę stąpa posuwiście sam pan Jaśko z Mirachowa i żona jego młoda.

Tańczą i tańczą! A ochota, a wesele! Aż się harfa, co tylko zamorskie wesela widziała na te polskie gody zapatrzyła, a że naszych przyśpiewków nie umiała, to tylko pokrzykiwała:

— Hop, hop, hop! Dziś, dziś, dziś! Po naszemu!

Tony muzyki i rozgwaru weselnego potężnem echem rozlewały się po szerokiem jeziorze.

Buchała radość z zamku na świat cały!

Aż się księżyc, co właśnie był wyszedł na niebo, zdziwił, skąd na jeziorze tyle gwaru. Rozlał się mdłem światłem po fali, zajrzał do okien. Chciał pytać, ale że w zamku nikt na niego nie zwrócił uwagi, więc się pyta jeziora:

— Co to jest w zamku? Co to za uciecha?

A Jezioro Wieczne, co się srebrną dalą wkoło zamku mirachowskiego rozpostarło, powiada:

— Sam pan Jaśko z Mirachowa, co na mojej mieliźnie zamek wspaniały wybudował, teraz wesele huczne wyprawia!

I jak weźmie wywijać! Drobną się falą miota, przydreptuje, wirem się zakręci, wałem szerokim o brzeg piaszczysty tupnie!

Chciało jezioro wierzbę rosochatą w taniec porwać. Ale się wierzba wyrwała, tylko warkocze rude zamoczyła. Napuszyła się, nasrożyła i wiatrowi się skarży, że jej z włosów woda ciecze!

Ale wiatr jej nie słuchał, bo skoczył z brzegu na jezioro i już koła zamiata, tarza się, w dzikich skokach miota, a gwiżdże z uciechy, z każdą falą siarczyście odbijanego tańczy!

Oj byłoż wesele, było na mirachowskim zamku!

KONIEC.

WYDAWNICTWA
„NASZEJ KSIĘGARNI"
SP. AKC. POL. ZWIĄZKU NAUCZ. SZKÓŁ POWSZ.

Dla dzieci i młodzieży.

Bielska W. O zasłużonych kobietach polskich entuzjastkach . —.25
w oprawie . . . . . —.80
Brzezińska R. M. Piosenki z dziejów naszych, wyd. II . . —.45
— Powieści i baśnie . . . . . —.35
Brzeziński M. Przygody myśliwca wśród lodów Północy i lasów Południa, wyd. V . . . . . —.35
Bukowiecka. Przygody Wicka terminatora, wyd. II . . . —.35
— Burek i jego przyjaciele. Powiastka z 9 rys., wyd. II . —.40
Carrington E. Pomocnicy człowieka, opowiadanie przyrodnicze z 59 rys. przekład z ang. M. G. wyd. II . . . . —.84
Chełmońska M. Ranna rosa (zbiorek wierszy dla dzieci) . . —.25
Czerwińska A. Noc 29 Listopada 1830 r. w Warszawie . . —.20
— O Naczelniku Kościuszce . . . . . —.20
— O Sejmie Wielkim i Konstytucji 3-go Maja . . . —.15
Dyakowski B. Jak urządać gniazda i opiekować się ptakami, wyd. III z 18 rycinami . . . . . —.50
— O piasku i jego krewniakach, wyd. II z 13 ryc. . . —.35
— Sól . . . . . —.35
— Szkło i wyroby szklane, wyd. II z 22 rycinami . . —.35
— Zwierzęta lądowe i morskie w różnych częściach świata, brosz. z 216 rysunkami . . . . . 2.—
w kartonie 2.60
Dygasiński A. Przyjaciel koni. Powiastka, wyd. IV . . —.30
Gask L. Bohaterski Bruno, według oryginału angielskiego opracowała G. M. . . . . —.35
Hope Noel. Przygoda wilczka i jego pana. Powiastka z 19 rys. 1.20
Jezierski Ed. Bohater Woli, Józef Sowiński, wyd. II . . —.50
Kennigtton. Opiekun bezbronnych. Niezwykłe przygody młodego księcia w bardzo dawnych czasach . . . —.90

Lendzka H. Promyki światła . . . . . —.35
Malot. Bez rodziny, opracowała F. M., wyd. V . . . —.75
— Dla rodziny . . . . . —.70
Marcinowska J. Adam Mickiewicz . . . . . —.70
Mayne-Reid. Wygnańcy w lesie . . . . . —.40
Nasi przyjaciele. Według oryginału angielskiego opracowała M. G. wyd. II z 43 rysunkami . . . . . —.90
Orsza H. Święty Jan Kanty i jego czasy, wyd. III . . —.25
O Władysławie Syrokomli, wyd. II . . . . . —.20
Quida. Nella i Patrasz, historja z rysunkami . . . . —.60
Przygody Robinsona, skróciła F. M., wyd. III . . . —.35
Rudnicka. Lilja srebrna . . . . . —.15
— Stary krzyż . . . . . —.15
Sadowska-Klimkowa. Już nadchodzi roczek nowy, zbiór wierszyków okolicznościowych . . . . . —.15
w oprawie . . . . . —.70
— Mój upominek, 5 powiastek dla dzieci do lat 12 . . —.15
w oprawie . . . . . —.70
— Promyki, 5 powiastek dla dzieci do lat 15 . . . —.15
w oprawie . . . . . —.70
Selous. Przymierze Tomcia ze zwierzętami, powiastki z 8 rys. 1.20
Sen Józia, z powieści Urbanowskiej „Gucio zaczarowany", przerobiła F. M., wyd. III . . . . . —.25
Sokołowska Z. Ciekawe powiastki, 5 powiastek dla dzieci do lat 15 —.40
w oprawie . . . . . 1.—
Szelburg-Ostrowska E. Marysina służba, baśń dla dzieci i młodzieży z 10 rysunkami . . . . . —.60
Teresa-Jadwiga. Panna Henia . . . . . —.20
Umiński Wł. Co człowiek zawdzięcza zwierzętom, wyd. III . —.20
— Krwawa dola, powieść z niedalekiej przeszłości . . —.60
— Podziemne mieszkania zwierząt . . . . . —.25
Weychert-Szymanowska W. Narcyza Żmichowska, poetka i obywatelka . . . . . —.15
W niewoli u słoni . . . . . —.15